

PAOLO
MAURENSIG

Anagalis

HISTORIA MIŁOSNA

Tłumaczyła
Halina Kralowa

Wydawnictwo Próby

Powiedziała, że czekała na mnie. Ojciec zapowiedział jej moje przyście, prosząc, by dała mi do dyspozycji materiały o Henrym Jamesie. Wskazała mi miejsce przy biurku, gdzie leżało kilka grubych warstw marmurkowych kartonów zawierających setki kartek pokrytych tekstem pisanym odręcznie piórem lub ołówkiem. Niektóre z tych kart były powiązane kolorowymi tasiemkami: znak, że ktoś już przeprowadził pierwszą selekcję, grupując je według typu papieru, koloru atramentu i formatu papieru. Były tam również podniszczone notesy wypełnione pismem rzadko trzymającym się linijek.

Byłem oszołomiony.

– Skąd pochodzą te wszystkie papiery?

Olga uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Nie może pan sobie nawet wyobrazić, co da się znaleźć między stronicami starych książek przeznaczonych na przemiał: listy miłosne, rachunki sklepowe, kwity, odręcznie pisane testamenty... A kto wie, ile prawd kryje się jeszcze w mroku starych kufrów powynoszonych na strych czy w zamkniętych przegródkach jakiejś sekretery.

Moją uwagę przyciągnął od razu jeden z rękopisów, broszura składająca się z jakichś pięćdziesięciu obustronnie zapisanych kartek, niektórych w dobrym stanie, innych zamazanych, zniszczonych upływem czasu. Podniosłem je ostrożnie. Stronice były związane czerwonym sznureczkiem. Widząc moje zainteresowanie tym plikiem kartek, moja interlokutorka, jak zauważyłem, kiwnęła głową z zadowoleniem. Powiedziałbym, że tylko na to czekała, by zacząć mówić.

– To, co pan przegląda, jest, czy było swego czasu, całym opowiadaniem. Zostało znalezione w starym

pudełku po *biscuits au chocolat* należącym prawie na pewno do Konstancji Woolson, pisarki zaprzyjaźnionej z Henrym Jamesem, która zmarła śmiercią samobójczą w styczniu 1894 roku. W tym okresie belgijska wytwórnia herbatników Delacre zaczęła produkować limitowaną serię pudełek przeznaczonych na prezenty, z reprodukcjami obrazów słynnych malarzy. Ta akurat skrzyneczka miała na blaszanej pokrywce reprodukcję *Tarasu nad morzem w Sainte-Adresse*, obrazu Moneta, który z pewnością bardzo się jej podobał. W środku był rękopis opowiadania, które Henry James dał jej do przeczytania przed opublikowaniem. Ten, kto chciał nam to sprzedać, nic o tych kartkach nie wiedział, czy może nie chciał nam powiedzieć, skąd pochodzą. Zadowolili się kilkoma lirami za rękopis z pudełkiem – jako integralną częśćią znaleziska. Dopiero potem, po dokładniejszym zbadaniu, odkryliśmy autora tego tekstu. Niestety, chociaż pokrywka była szczelnie zamknięta, wilgoć i sól morska skorodowały metal, przenikając do środka, tak że duża część kartek stała się zupełnie nieczytelna. Sądząc z dedykacji, a także daty, mamy podstawy sądzić, że Konstancja przeczytała opowiadanie na kilka dni przed popełnieniem tragicznego czynu. A może nawet lektura opowiadania pchnęła ją do tego. Można wręcz mniemać, że na tych kartkach wyobraźnia jej wyczytała ostateczne pożegnanie. On miał się przenieść do Lamb House, swojego domu w Sussex, rezygnując na zawsze ze swych podróży. Zaczynał podupadać na zdrowiu, podagra przykuwała go do łóżka na całe tygodnie i miał już kilka ataków *angina pectoris*. Były to lata trudne, usiane niepowodzeniami... I w tym stanie poważnego kryzysu nie czuł się już na siłach prowadzić dalej ich gry.

Niemniej nigdy nie miał zamiaru zrywać stosunków z Konstancją, chciał tylko utrzymać dotychczasowe *status quo*, zachowując należny dystans i przestrzegając wzajemnej *privacy*. Henry James był zbyt wrażliwy na uczucia swej przyjaciółki, aby nie rozumieć, że zwykły nietakt w stosunku do niej byłby wstrząsem dla jej i tak już silnie zaburzonej osobowości. W gruncie rzeczy stanowił więc wyraz wdzięczności i uznania. Dać do przeczytania – jako pierwszej – opowiadanie jeszcze w rękopisie, opatrzywszy je nadto osobistą dedykacją, było jawnym dowodem szacunku. Zazdrosny o to, co pisze, nie dawał raczej innym do czytania swoich ineditów. Ten gest był znaczący, bo gdyby opowiadanie zostało opublikowane, dedykacja na stronie tytułowej, drukiem, świadczyłaby na przyszłość o nierozzerwalnej więzi, jaka ich łączyła. Widzieć własne imię związane z imieniem swego mentora... trudno o większy wyraz uznania! Ale dla kobiety zakochanej całe rzeki szacunku, podziwu i przyjaźni nie są w stanie zastąpić jednego słowa miłości. I może tego właśnie szukała Konstancja na tych stronach: jasnego przekazu skierowanego tylko do niej, odpowiedzi na jej uczucia. Już od pierwszych listów ich korespondencji można zrozumieć, jak ostrożnie James traktował ten szczególny związek. Nie myślał jednak, że z czasem sprawy mogą się tak zagmatwać i przyjąć równie dramatyczny obrót. Pisarka żyła teraz we własnym świecie; sytuację pogarszała postępująca głuchota, nękająca ją od dzieciństwa. Była wieczną nastolatką. Aczkolwiek inteligencja i kultura pozwalały jej dyskutować na każdy temat, często zdarzały się jej chwile zaskakującej naiwności. Życie było dla niej nieustannym przedstawieniem, w którym grała rolę bohaterki, utożsamiając się często

bez reszty z postaciami z własnych książek lub tych, które zdarzyło jej się przeczytać. Poza tym miała obsesję na temat samobójstwa, które uważała za wybór najbardziej zgodny z jej naturą. Śmierć zadana samej sobie była dla niej największym dowodem miłości. Należałoby odtworzyć to opowiadanie, by ocenić, czy zawiera coś, co mogłoby stać się bodźcem do odebrania sobie przez nią życia. I jeśli nawet, obiektywnie nic takiego tam nie ma, nie możemy wiedzieć na pewno, co w nim widział pogrążony w deformującej wszystko depresji umysł pisarki: znaki, przestrogi, sugestie, słowa kluczowe... Najniewinniejsze zdanie mogło być źle zinterpretowane, nabrać hiperbolicznych znaczeń. Rękopis, będący jedynym egzemplarzem, miał być z pewnością zwrócony, by po przepisaniu na maszynie mógł być oddany do druku. Ale sprawy, jak wiadomo, potoczyły się inaczej.

– Między nimi dwojgiem – zaproponowałem – istniało zatem jakieś uczucie wykraczające znacznie poza zwykłą przyjaźń.

– Musimy wziąć pod uwagę, że Henry James był bardzo podziwiany przez płeć piękną. Kiedy spacerował przed budynkiem Prokuracji, całe rozgadane towarzystwo damskie siedzące przed „Florianem” milkło. Jego masywna postać, która wtedy była oznaką dobrego zdrowia, miała w sobie coś krzepiącego, opiekuńczego. Za to twarz, w przeciwieństwie do jowialnej postaci, zdawała się skrywać cały ciężar i cierpienie jego sztuki: szerokie, pocięte głębokimi bruzdami czoło i oczy, szare, bystre, podobne oczom drapieżnego ptaka, potęgowały jego urok. Stosunki, jakie James utrzymywał z kobietami, trudno zliczyć, ale były to stosunki wyłącznie epistolarne. Potrafił

prowadzić intensywną korespondencję nawet wtedy, gdy przyjaciółka po piórze mieszkała w tym samym mieście, w tej samej dzielnicy, a nawet w tym samym domu. W willi Brichieri we Florencji, gdzie tych dwoje spotkało się po raz pierwszy, James i Woolson mieszkali wręcz po sąsiedzku, przedzieleni tylko galeryjką, co nie przeszkadzało im rozpocząć ożywionej wymiany listów. Z czasem jednak ich stosunki przestały się ograniczać do pisywania do siebie, stały się najprawdziwszą anomalią w życiu równie zatwardziałego jak on starego kawalera. I nie mniejszym strapieniem. James robił wszystko, by to ukryć, ale że – przynajmniej z jej strony – jest tu coś więcej niż serdeczna przyjaźń, było jasne dla każdego. O ile w nim gościła zimna dusza estety, w niej pulsowało serce zdolne nawet krwawić. I ta dwuznaczność stanowiła wyjątek bez precedensu w nieposzlakowanym życiu pisarza². Dziś jeszcze niektórzy zarzucają mu, że był przyczyną samobójstwa Konstancji, że cierpiała przez niego zbyt długo, że był nieczułym potworem, przygotowując, być może nieświadomie, warunki dla jej szalonej decyzji. W każdym razie usprawiedliwia go po części to, że przez czterdzieści lat natykał się na nią, gdzie tylko się ruszył: w Baden-Baden, w Londynie, w Rzymie, w Neapolu i na koniec w Wenecji. A cierpliwość nawet takiego jak

² Naginając metody badawcze do własnych koncepcji, niektórzy biografowie współcześni podejrzewali pisarza o ukryty homoseksualizm, nie znajdując na to jednak żadnych konkretnych dowodów. Jeśli chodzi o jego związki z kobietami, poza dwuznaczną przyjaźnią z Konstancją Woolson rzeczą potwierdzoną jest młodzieńcza miłość do kuzynki Mary Temple, zmarłej na gruźlicę w wieku dwudziestu czterech lat. Nie tyle zatem postać Woolson, ile kuzynki, bardzo uzdolnionej poetki, kobiety wielkiej urody, wolnej i buntowniczej, była wzorem dla postaci kobiecych z jego powieści i opowiadań.

on dżentelmena miała swoje granice. James nie mógł już znieść, że stał się przedmiotem niepoohamowanego uwielbienia dla kobiety gotowej doprowadzić się do stanu uległości graniczącej z perwersją. „Ona nigdy nie była całkiem zdrowa na umyśle – miał napisać James do ich wspólnego przyjaciela, kompozytora Francisca Bootta. – Można się było tego spodziewać, wcześniej czy później musiało się to zdarzyć. W jakiś sposób czuję się odpowiedzialny za jej śmierć, ale nie wiem, jak mogłem jej pomóc, i nie mogę zrozumieć, czego ona się po mnie spodziewała”. A tymczasem zrozumieć to jest naprawdę nietrudno: niespokojny i romantyczny duch udręczonej pisarki zaczynał przygasać, czuła, że się starzeje (w tamtych czasach kobieta pięćdziesięcioletnia była już stara) i chciałaby skończyć ze swoim wiecznym przenoszeniem się z miejsca na miejsce – wybór życia, które odpłaciło jej najbardziej okrutną z samotności – by spędzić resztę lat z osobą, którą najbardziej kochała. Czując się niejako pokorną uczennicą – to on czytał jej prace jeszcze niegotowe, udzielając jej cennych rad – zdawała sobie sprawę, że nigdy „mistrzowi” nie dorówna, ale mogła być dla niego kochanką – żoną – gospodynią, być służącą, być pomywaczką; przyjąć każdą rolę, byle pozostać blisko niego. Może wyobrażała sobie, że zamieszkają razem z dala od świata w jakimś wiejskim domu nad jeziorem Michigan³, gdzie spędzać będą czas na ganku w ustawionych obok siebie fotelach na biegunach, podziwiając przejmujące zachody słońca nad wodą. Ale sprawy się pogorszyły. Jej umysł był już pozbawiony

³ Okolice, w której Woolson umiejscowiła akcję dużej części swoich młodzieńczych opowiadań.

zupełnie zmysłu krytycznego. Zaczęła zachowywać się jak panna na wydaniu. Przy każdej okazji dawała do zrozumienia, że ich ślub jest bliski. Wystarczyło zwierzyć się służącej czy zatrzymać się u modystki, by przejrzeć katalog sukien ślubnych, by wkrótce potem mówiła o tym cała Wenecja. Nie sposób było nakłonić jej, by przestała, by dała spokój tym pretensjom do „uregulowania” ich stosunków, inaczej, jak tylko przekonując ją, że jedynym związkiem możliwym w tym życiu jest wspólna pasja do literatury i poszukiwanie piękna. W ten sposób ich związek mógł być przez niego kontynuowany przez całą wieczność, czyli, innymi słowy, aż do śmierci. Zachęcał ją tym samym, by się trzymali na odległość pióra. Ale choć ten przekaz mógł być bolesny dla Miss Grief⁴, z pewnością nie można w nim widzieć nakłaniania do samobójstwa.

Olga wpatrywała się długo w te kartki.

– Ojciec polecił mi pokazać je panu, by mógł je pan odcyfrować, zanim zostaną przekazane do Marciana. Proszę zrobić z nich jak najlepszy użytek i zatrzymać tak długo, jak uzna pan za konieczne.

Nieoczekiwany uśmiech losu! Który spychał na dalszy plan wszystkie moje ambicje związane ze światem filmu. Nie mogłem uwierzyć: miałem przed sobą znalezisko nieoszacowanej wartości, które mogłem wykorzystać, jak mi się podoba, nawet zrobić z niego powieść. Pod warunkiem, oczywiście, że zdołam je odtworzyć.

Czekałem niecierpliwie, by móc przejrzeć na spokojnie te kartki; zdecydowałem się zatem zatrzymać

⁴ Tytuł słynnego opowiadania Woolson.

w Wenecji na kilka dni. Aby przygotować się duchowo do pracy, którą szykowałem się podjąć, postanowiłem zamieszkać na Riva degli Schiavoni, w tym samym pensjonacie⁵, który przed ponad wiekiem gościł pisarza w czasie jego pierwszych wizyt w Wenecji. Poprosiłem umyślnie o pokój na czwartym piętrze, ten, który Henry James lubił szczególnie ze względu na zachwycający widok na lagunę. Z balkonu na ostatnim piętrze dostrzega się istotnie wyspę San Giorgio Maggiore, z bazyliką Palladiańską pod tymże wezwaniem, a dalej, na Punta della Dogana, rysują się imponujące, barokowe linie bazyliki Santa Maria della Salute. Widok, który sam James w jednym ze swoich listów określa włoskim słowem „*una bellezza*”. Chociaż może nie wszystko pozostało takie, jak było przed wiekiem. Przekraczając próg pokoju, odniosłem wrażenie, że robię skok w przeszłość; i myślę, że to samo przydarza się jeszcze dzisiaj tym, którzy tam wchodzą. Aczkolwiek pensjonat – pod względem komfortu i gościnności – dorównywał najbardziej nowoczesnej sieci hotelowej, właściciele, świadomi atrakcji, jaką pokój ten stanowił dla wielu turystów, postanowili zostawić bez zmian wyposażenie i styl epoki wiktoriańskiej. W pokoju, obszernym i wygodnym, całą podłogę wyściełają dywany, a na ścianach, pokrytych tapetą w błękitne kwiaty na złotym tle, wiszą liczne poźółkłe ryciny. Nie brak masywnego biurka z palisandru i wielkiego małżeńskiego łóża. A na koniec tronującej na środku

⁵ Było to przez długi czas miejsce, gdzie zatrzymywał się pisarz w czasie swoich wizyt w Wenecji, dopóki małżonkowie Curtis, wielcy mecenasi sztuki, nie oddali mu do dyspozycji na stałe kilku pokoiów w pałacu Barbaro.

pokoju kanapy z zielonego aksamitu, bardzo na pozór wygodnej, gdyby nie leżąca na oparciu cenna owalna koronka, która odbiera odwagę każdemu, kto chciałby tam usiąść.

Zacząłem pracę tego samego wieczoru. Rozłożyłem kilka kartek na biurku, wprowadzając zamęt w spokojne życie całych kolonii rybików, tych srebrzystych robaczek z długimi czułkami, które gnieźdzą się między stronicami starych książek i żywią papierem. Rozdzieliłem najpierw kartki, oddzielając strony z notatkami, wydarte z kieszonkowego notesu, od tych, które miały format papieru listowego.

Kolory atramentu, choć wyblakłe, też były różne, od szarego do bładoniebieskiego, czasem wręcz zielonego w odcieniu mchu. Często były to tylko kalejdoskopowe kwiatostany, spontaniczne tablice testu Rorschacha. Miałem je później posegregować według odcieni kolorów, by ustalić ich chronologię. O ile tekst opowiadania napisany był starannie, z dbałością o kaligrafię – warunek niezbędny, by można go było przekazać zecerowi – na stronach dziennika czy notatek pośpieszne pismo Jamesa nie zostawiało ani skrawka czystej kartki: doszedłszy do końca strony, biegło wzdłuż marginesów, by w końcu zakreślić koło i wślizgnąć się jak bluszcz w przestrzeń między wierszami, jakby gwałtowne emocje nie zostawiały mu nawet czasu na przewrócenie strony. Niemniej analiza grafologiczna mogłaby odkryć ciekawe szczegóły. Różne stopnie nachylenia liter na przykład mogły wskazywać nastrój piszącego. Czytelność znaku mogła z kolei sugerować, na czym leżał papier. Wyrazne pismo oznaczało podstawę stabilną, jak biurko czy

stolik w kawiarni, gdzie indziej wydawało się bardziej chwiejne, jakby kreślone w jakimś środku transportu, w ruchu, mógł to być pociąg, vaporetto czy gondola (a te wykwyty pleśni? Krople deszczu? Bryzgi słonej wody? Łzy?).

Na pierwszej stronie rękopisu widniał wyraźnie napisany tytuł opowiadania: *Anagalis*. Towarzyszyła mu dedykacja i data, dobrze jeszcze widoczne:

Konstancji, mojej pierwszej czytelniczce

H. J. Wenecja, styczeń 1894

To niewątpliwie był początek, pozostawało tylko uporządkować całą resztę, ale ta drobiazgowość operacja kryptograficzna, z którą spodziewałem się początkowo uporać w kilka miesięcy, stawała się w miarę postępu prac coraz trudniejsza, okazując się zawiłą łataniną bez ładu i składu. Byłem w sytuacji konserwatora, któremu powierzono rekonstrukcję fresku wielkości Kaplicy Sykstyńskiej w oparciu o nieliczne zachowane fragmenty. Przywrócenie tekstowi pierwotnej formy zajęło mi trzy lata, ale dziś jeszcze nie jestem pewny, czy udało mi się to w pełni. Bez pomocy Olgi, która, przygotowując swoją pracę dyplomową, przeanalizowała już dogłębnie dużą część tych stron, nie doszedłbym do niczego. Musiałem wracać wielokrotnie do Wenecji, by porównywać nasze wersje. Wielokrotnie były zbieżne, ale w niektórych punktach różniły się całkowicie. (Nawiasem mówiąc, nasze częste spotkania, podyktowane z początku względami zawodowymi, zaczęły się przekształcać w głęboką przyjaźń, zakończoną szczęśliwym małżeństwem. Ale to już inna historia).

To Olga dostarczyła mi kilka stron dziennika, które odegrały rolę sekstansu, bez których nie ukończyłbym nigdy tej pracy. Te zapiski pomogły mi sporządzić mapę, pozwalającą rozeznaczyć się w terenie zupełnie mi nieznanym.

Pierwszy fragment (z listu do nieznanego adresata):

Podczas gdy to piszę, mam wrażenie, że już od pierwszych blasków świtu niespokojny las birnamski ruszył w stronę Dunzynanu⁶. Zdarza mi się to, gdy Atena zwróci na mnie swoje życzliwe spojrzenie, a sowa na jej ramieniu obudzi się, strosząc pióra. Rzadko, jak pamiętam, zdarzało mi się odczuwać taką radość w chwili przebudzenia. A radość tę zawdzięczam pomysłowi na opowiadanie, które długo chodziło za mną bezskutecznie, aż w końcu zmaterializowało się w postaci młodej kobiety, dziewczyny na wydaniu, która przebywa w Wenecji jako gość pewnej bogatej pani. Pomysł zakłada – ale tego nie jestem jeszcze zupełnie pewny – że ta młoda kobieta u progu życia promiennego i pełnego obietnic jest w jakiś sposób skazana przez przeciwny jej los, którego nie może w żaden sposób uniknąć, i świadoma tego, pragnie przeżyć w sposób możliwie beztrudny czas, który jest jej dany, szukając może ratunku w miłości.

Drugi fragment, z notatki skreślonej na oddzielnej kartce dziennika:

A zatem w tej historii pojawia się myśl mniej oczywista, taka mianowicie, że to nie Fatum kieruje naszym życiem,

⁶ Nawiązanie do *Makbeta* Williama Szekspira.

ale ktoś, kto, nieświadomy konsekwencji, obmyślił je szczególnie dziesiątki lat, a nawet wieków, wcześniej. Chodzi o to, że między przyczyną a skutkiem może minąć szmat czasu i że ten związek objawić się może w jakimś odziedziczonym lub znalezionym przypadku przedmiocie. Przedmiocie, który przemierzywszy czas i przestrzeń, wróci do naszych rąk, niczym świadectwo, w którym zapisana jest nasza własna historia...

Bez tych dwóch fragmentów i innych, krótszych, lecz nie mniej istotnych, znalezionych między stronami jego dzienników, nie dałbym rady dokończyć mojej pracy. Potrzeba było lat, by odtworzyć mozaikę aż do ostatniej kostki – i nie ukrywam, że musiałem się uciekać także do nowoczesnych, wymyślnych technik. Mimo wszystko liczne strony okazały się nieodwołalnie zniszczone.

Oto rezultat: rodzaj palimpsestu, po części autentycznego, po części podrobionego. Niektórzy z pewnością skrzywią się, uznając wszystko razem za okropną hybrydę, ale na twarzy tego wyrafinowanego dżentelmena, który nieraz pojawiał mi się w snach w najbardziej krytycznych momentach mojej pracy, nie było nigdy śladu nagany.